

ZIEMIA

Warszawa—Lwów.



Stanisław Zuber.

Pasmo skałek Pienińsko-Nowotarskich. ³⁾



CISŁOWA SKAŁKA OD WSCHODU.

fol. St. Zuber.

V.

Wędrując po Pieninach i okolicy, zetkniemy się z najrozmaitszemi rodzajami gleby, spotkamy najróżnorodniejsze warunki, wśród jakich rozwinąć się może roślinność.

Będą tu kwieciste uplazy na wapiennych skałach, najbardziej charakterystyczne dla naszego pasu — będą tu również wilgotne, ciemne ścianki, gdzie rzadko słońce zagląda, poroście mchami.

Między jedną a drugą skałką napotkamy niewielkie, wonne łąki, często w dolnych pasmach podmokłe, wskazujące na glebę marglistą, nieprzepuszczalną.

Jeden i drugi typ łączyć będą ze sobą łą-

szy, porastające łagodniejsze zbocza skał a sięgające aż do warstw margli i piaskowców.

Klasycznym wprost terenem jest okolica Małych Pienin. Tam możemy obserwować rozwój flory łąkowej, bagiennej i leśnej na stokach, po skałkach zaś widzimy rośliny pienińskich turni.

Ta część pasu (w okolicy Jaworek) daje nam piękny przegląd wszystkich formacji roślinnych terenu; same Pieniny stanowią Eldorado wapiennej, skałkowej flory, czy rosnącej w skalnych rozpadlinach, czy też na wapiennym podłożu rzadkiego lasu.

Zajmijmy się tym ostatnim. Wiemy już, że nie stanowi on zbitego poszycia wzgórz; różnorodność gleby i warunków daje nam różność drzew i krzewów porastających skałki.



fol. St. Zuber.

SKAŁKI TAK ZWANE „FLAKI” OD ZACHODU.

Widzimy tu wszędzie jodłę i świerk, spotkamy buki, jawory, rzadziej klon i jarzębinę, wreszcie modrzewie. Te ostatnie znamy nie tylko z Pienin, lecz także z okolic Krościenka i Rytra. W niedostępnych załomach skalnych kryje się cis. Na krzewach pnie się pospolita, w górach szafirowo-niebieska powojnica alpejska wraz z wieloma roślinami właściwymi Beskidom.

Pośród krzewów i mchów spotkać możemy piękny, rzadki storczyk „dwulistnik“ (*Oplrys muscifera*), w zaroślach najpiękniejszy storczyk polski (*Cypripedium Calceolus*), który rzadki w Krakowskim, lub na stokach zachodniego Podola, rośnie tu w niektórych punktach pasma.

*

Przedziały między skałkami, wypełnione przez margle i piaskowce, pokryte są polanami.

Niewielkie są wprawdzie te łąki, jak wszystko w wąziutkim pasie pienińskich skałek, lecz pełno tu barwnego kwiecia, może więcej niż po okolicznych halach beskidzkich.

Rośnie tu złotogłów (*Lilium Martagon*), kilkanaście storczyków, których liczba gatunków dochodzi w paśmie do dwudziestu; w trawie napotkamy pełno gwiazdek (*Pamassia palustris*), t. j. dziewięciornika, mieszkańca kwiatnych hal karpaccich.

Mamy tu okrzyń (*Laserpitium latifolium*), którego kwiaty widzimy rozsiane wśród traw.

Nad potokami zmienia się flora. Nikną barwne kwiaty — szata roślinna przybiera zielonawo-szary odcień. Tu panują jednoliscienne.

W oko wpadają białe puchy welnianek, których pełno po wszystkich mokradłach karpaccich. Jest tu charakterystyczny dla bagnistych terenów ostrzew (*Blysmus compressus*); rośnie kilka turzyc rozsianych kępiasto jak (*Carex Davalliana*) lub gęsto porastających ziemię *Carex canesceus*, nierzadko można napotkać roślinkę *Tofieldia calyculata*.

*

Najciekawsze może łąki i bagienka znajduje przyrodnik w okolicach Jaworek, pod Littmanową lub niedaleko Lubowni.

Wymienione formacje roślinne staowią jedynie tło, są tylko barwną oprawą — wśród której sterczą skałki.

Tu działały wszystkie możliwe elementy rozwoju flory, by zachowały się środowiska roślinne nieskażone, bogate jak nigdzie.

Grunt wapienny, pełen niezarośniętych, sł-

necznych ścianek. nietknięty lodami dyluwium, mógł przechować florę dawnych Karpat, w których gęsty las zagłuszył roślinność niezarośniętych zboczy.

Różnorodność bardzo korzystnych warunków, pozwoliła na znaczne rozkrzewienie się rzadkich roślin, niekiedy występujących tu masowo na pojedynczych upłazach.

Pieniny dały schronienie słynnemu jałowcowi sabińskiemu, którego miękkie gałązki stanowią przedmiot pożądania turystów i górali...

Krzewi się tu wilczytęko, rzadka *Sorbus aria*, dalej z ziół pszonak (*Erysimum Withuanii*), znany z Niżnich Tatr, z drobnolistnych *Alsine setacea*, habry (*Centaurea axillaris*).

Upłazy porasta żółty alpejski posłonek (*Helianthemum alpestre*), jasno-różowy, pierzasty goździk (*Dianthus plumarius*); spotkamy tu rzadki nałęczczyk (*Phaca alpina*), koniczynkę (*Trifolium alpestre*). Kwitnie w Pieninach nasadka (*Androsace lactea*), tworząca kępy ciemnozielone o białych drobnych kwiatkach; rosną rezedy — niebieska *Phyteuma orbiculare* i żółta *Phyteuma spicatum*. Osobliwych *compositów* tu moc.

Jest biały złocien *Chrysanthemum Zawadzki*, mamy tu fioletowy aster (*Aster glabramo*), spotykamy wreszcie liczne *Hieracia* (Jastrzębce).

Z traw warto wymienić południową turzycę *Carex alba*.

*

To widzimy na skale, gdy pod upłazami i ściankami spotkamy nowy świat roślin. Tam rosną zioła, czepiające się piargu i usypiska wapiennego.

Pospolity w wapiennych Tatrach wapienek, *Gypsophita zepeus* panuje tu na słonecznych miejscach, nie gdzieindziej również spotykamy rzadką bylicę *Artemisia calcigena*, osty górskie w kilku gatunkach, dalej łomikamienie (*Saxifraga*), których pełno widzimy również i wyżej, po skałach.

Bogactwu flory jawnokwiatowej odpowiada różnorodność świata porostów; obfity materiał do studyów znajdziemy, badając słoneczne ścianki wapieni czorsztyńskich lub rogowcowych, przeszukując wilgotne załomy skalne, gdzie kryją się zielonawo-brunatne porosty, wątrobowce i mchy.

Na przeglądzie wymienionych formacji musimy poprzestać, nie wdając się w szczegóły.

Zestawienie chociażby najogólniejsze pouczyć nas musi, że Pieniny osobliwe i do pewnego stopnia pod względem geologicznym za-

gawkowe, morfologicznie zaś wybitnie odcinające się od reszty Karpat, są dla florysty zbiorowiskiem charakterystycznych, rzadkich form.

Występują tu owe gatunki obficie, tworzą zbiorowiska roślinne odznaczające się odrębno-

ścią. Rzecz ciekawa, że łączą je pewne cechy wspólne z florą skałek bukowińskich a to jest może najciekawszym fizyograficznym rysem roślinności Pienin.

D. N.



B. Śląski.

Pochodzenie nazwy „Zawichost“.

Przedmiot, który w niniejszej notatce poruszamy, jest niewątpliwie zawily, skutkiem czego oddawna zajmuje badaczy. „Słownik Geograficzny“ poświęca mu obszerniejszy ustęp tej treści:

„Forma *Zawichost* przedstawia pewne trudności, jeżeli ją chcemy zaliczyć do jednej z grup nazw miejscowych. Pokrewniemi jej są niewątpliwie nazwy: *Bydgoszcz*, *Radgoszcz*, *Ugoszcz*, *Trzebiegoszcz*, *Zelgoszcz*; zachodzi jednak ta różnica, iż niema tu zmiękczenia końcowych spółgłosek źródłosłowu (*gost*), cechującego powyższe przymiotnikowe nazwy, formowane od imion własnych: *Bydgost*, *Radgost* i t. p. Występuje zaś tu zmiękczenie spółgłoski *g* na *h*, przechodzące w piśmie i wymawianiu na *ch*. W innej nazwie *Zagost* mamy znów odmienne zmiękczenie końcowych spółgłosek. Mimo to można z wielkiem prawdopodobieństwem zaliczyć *Zawichost* do grupy powyższych nazw. Hipoteza prof. Kawczyńskiego, wiążąca *Zawichost* ze źródłosłowem nazwy *Wisła* (por. Dwie etymologie w „Ateneum“ z r. 1890), nie ma trwalszych podstaw“ (Słow. Geogr. t. XIV, str. 487).

W słowach dopiero co przytoczonych a skreślonych przez p. Br. Chlebowskiego, przebijają wprawdzie ostrożność wnioskowania; mimo to wywód ten zupełnie przekonywający nie jest, podejmujemy przeto próbę innego rozwiązania zagadki.

Otóż nazwa „Zawichost“ sięga bardzo odległych czasów, znajdujemy ją bowiem już w dyplomatach z XII i XIII stulecia z drobnemi jejno zmianami pisowni („Zawichosth“, „Zawy-

chosth“ i t. p.). Atoli w pewnym dokumencie z r. 1214 występuje i forma „Zawichwost“. Pierwsze więc pytanie, jakie się następuje, polega na tem: którą z wymienionych postaci uznać należy za pierwotną? Sądziłbym, iż pierwszą — nie tylko dlatego, iż występuje ona, jak wyżej wspomniano, w najdawniejszych dokumentach, ale i z tego względu, iż wyraz „chwost“ (ogon) był żywotnym w naszym języku jeszcze w XVII stuleciu, a nawet Trembicki zamieścił go w swej „Zofijówce“: nie dość tedy łatwą do zrozumienia byłaby wyrzutnia dźwięku *w* w nazwie złożonej. Ale domysł ten popiera jeszcze analiza drugiej części składowej wyrazu „Zawichost“: uważać bowiem należy owo „zawi“ za przeistoczenie pierwotnego przymiotnika „żabi“ (w dokumentach łacińskich dźwięk *z* raz wraz wyrażany bywa przez *s*, zastępstwo zaś wzajemne dźwięków *b* i *w* jest zjawiskiem językowym nader pospolitem). Nazwa *żabi-chwost*, t. j. *żabi ogon*, byłaby dość dziwna, gdyż, jak wiadomo, *żaba ogona* nie posiada. Co jednak począć z zakończeniem *chost*? Otóż mniemam, iż jest ono średnio-wieczną nazwą polską lasu lub gaju — „gozd“ inaczej „gost“, która to nazwa zachowała się po dziś dzień w jednym z języków południowo-słowiańskich (por. w Sł. Lindego: *Gaj i Las*). W naszym języku wyrazy „gozd“ lub „gost“ były używane jeszcze w XVI wieku, ale już zanikało poczucie ich właściwego znaczenia i stawały się nazwami raczej topograficznymi, o czem przekonywa poniższy ustęp z lustracji województwa mazowieckiego (r. 1569): „Starostwo osieckie. Za zwierzyńcem jest las,

który zowią Gost... a sięga aż do Gozdu P. Sobiekurskich" (p. czasop. „Leśnik Polski“ z r. 1913, str. 381 — publikacja p. W. Prackiego).

Wspominany wyraz „gozd“ lub „gost“ nie tylko wyjaśniałby nam powstanie nazwy „Zawichost (Żabi-las), lecz i wielu innych nazw miejscowości, jak np. „Gozd“, „Gozdek“, „Gozdowo“, dalej „Zagość“ (pierwotnie „Zagost“, w pow. pińczowskim), „Zagożdź“, „Zagożdzie“,

„Zagożdżon“ (por. Zalesie, Zagaje i t. p.), a bodaj nawet „Małogoszcz“ (por. w St. Geogr. „Mały-gost“, „Mały bór“, „Mały las“ i t. p.).

Kończąc ten wywód, czuję się w obowiązku nadmienić, iż nie uważam bynajmniej zagadnienia za rozwiązane przeze mnie ostatecznie. Pragnąłbym jednakże usłyszeć krytykę mego poglądu ze strony zawodowych badaczy naszego języka.



Al. Janowski.

LISTY Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

XVII. Cleveland.

Zwykły podział na parafie zaznacza się i w Cleveland, ale tutaj nadto dzielnice mają nazwy: Warszawa, Poznań i Kantowo. Ta ostatnia dzielnica gromadzi głównie wychodźców z Galicyi. Jest ona najuboższa, ale też najruchliwsza i najbardziej narodowo uświadomiona.

Kantowo pobudowało sobie dom związkowy, a takież dom i sokolnie posiada Warszawa. Poznań swojej hali nie ma, natomiast jego: Pułaski str., Sowiński str. roją się od ludu polskiego.

Trzy pisma polskie tygodniowe (Narodowiec, Polonia w Ameryce i Jutrzenka) wychodzą w Cleveland, a w połowie czerwca miał zacząć wychodzić i Dziennik.

W Wade-Parku wzniesiono ładny pomnik Kościuszki, odlewany przez Galliego we Florencyi. Jest to bronzowa figura na cokół z szarego granitu. W prawej ręce Kościuszki wzniesiony miecz, a na cokół wykute słowa rozmowy bohatera z Washingtonem: „Przychodzę jako ochotnik walczyć o wolność Ameryki“. „Co możesz zrobić?“ pyta Washington, „Wypróbuj mnie“, odparł Kościuszko.

Cleveland, „Forest City“, lub „Sixth City“, miasto szóste co do liczby mieszkańców w Stanach, miało przez długi czas majora miasta wielkiego społecznika. Był on uwielbiany przez mieszkańców i jego to zabiegom przypisać należy: niższenie ceny biletów tramwajowych z 5 do 3 centów, urządzenie wzorowych kąpielni ludowych, niesłychanych przytułków dla starców, zakładu dla piersiowo chorych, farmy poprawczej dla więźniów. Obok tylu wielkich re-

form czuwał major i nad drobiazgami: pewne ulice w przedwieczornych godzinach zamknięte są dla ruchu kołowego, aby dzieci bezpiecznie mogły się bawić na ulicy, gdzie niema w pobliżu skwerów i placów; puste działki ziemi wynajmuje miasto pod zagonki dla dzieci, trzyma parę orkiestr do muzyki po placach i t. p.

Polacy, nie wiele korzystając przy swem odrębnem życiu z urządzeń społecznych amerykańskich, w życiu miasta nie biorą udziału; żaliła mi się p. Conrad, pracująca w bibliotece publicznej, że Polacy mało korzystają z książek; że mają w bibliotece salkę do pogadanek dla dzieci, ale nie korzystają z niej; bywają tam pogadanki angielskie, włoskie, niemieckie, ale nie bywa nigdy polskich, choć w Cleveland mieszka około 50,000 Polaków. Sala odczytowa z latarnią także jest do dyspozycji, ale Polacy ani na obchody, ani na odczyty lub koncerty nie korzystają z niej.

Polacy w Cleveland pracują przeważnie w przemyśle metalurgicznym, naftowym i krawiectwie damskim. Pomimo, że zarobki są niezłe, jednak czasem trafi się kompletna bieda. To też nasze Towarzystwo Dobroczynności dużo ma do roboty. Dużo do tej biedy przyczyniają się saluny, a jest ich na samej Warszawie 85 na 20,000 ludności. Każdy salon płaci podatku miejskiego 1,000 dolarów, to już na sam podatek nasi rodacy z Warszawy muszą znieść 85,000 dolarów, a gdzie koszty utrzymania lokalu, światła, służby, trunków, zarobek salunisty? Przecież to chyba wyniesie więcej niż drugie tyle, ale gdyby nawet drugie tyle, to otrzymamy 170,000 dolarów, czyli 340,000 rubli!

Podobne stosunki panują nie wyjątkowo w Cleveland, są one we wszystkich naszych

koloniach: Irlandczycy i Polacy to najpotężniejsze filary salunu. Dlatego to ogromnie jest przykro myśleć o tem nieszczęściu.

Jedna z tutejszych lekarek, dr. Conrad, siostra owej działaczki z biblioteki, charakterystyczne powiedziała do mnie słowa: „A gdy będzie pan co pisał o nas, to proszę pamiętać, że obok wielu stron złych i śmiesznych, posiada emigracya nasza dużo stron dobrych i zasługujących na uznanie“. Tak jest rzeczywiście, tych stron dobrych jest bardzo wiele i to bar-

dzo głębokich i zacnych, jeno że niema jakichś takich wytycznych szlaków, w które możnaby te szlachetne instynkty skierować, by na chwałę imienia polskiego rozbłysły. Obecnie dużo jeszcze energii, kapitału, starań i zabiegów idą na marne, bez tego honoru dla Polski, bez promiennej aureoli nad głową ojczyzny. Mówią tu jednak, że każdy rok nowy o wiele jest lepszy pod tym względem od swych poprzedników, i dlatego cieszyć się należy nadzieją jeszcze lepszej, coraz lepszej doli.

oooooooooooooooo

B. Janusz.

Z wycieczek po Brzeżanach i okolicy.

4)



LEŚNIKI POD BRZEŻANAMI. KAMIEŃ Z WYKUTYM CHRYSTUSEM

fol. B. Janusz.

Dlaczego szatani nie wrócili nazajutrz, by już łatwo dokonać zniszczenia, nie zastanawia się dalej opowieść gminna i dość jej wyjaśnienia, iż dyabły, a nie kto inny, dźwignęły tyle kamienia naraz. W istocie zaś przyniósł go z północy lodowiec przed setkami wieków, osadzając go tu u kresu swej wędrówki razem z innymi pomniejszych w sąsiedztwie. Na głównej skale, tworzącej prawie foremny sześcian, objętości około 150 m³, widzieć można z boków charakterystyczne rysy olbrzymie, powstałe przez

ocieranie o inną jakąś twardą masę, a wyjaśniające najlepiej pochodzenie kamienia. Przodem zwraca się skała ku dołowi i wysoka jest z tej strony jakie sześć metrów. Zmysłny jakiś człowiek — być może pustelnik, co do końca XVIII w. miał pod tą skałą przebywać — wykuł na wyrównanej z grubsza ścianie postać Ukrzyżowanego, którą ktoś następnie usunął po części, wykuwając w samym środku o wiele większy krzyż z Chrystusem. W ten sposób poniżej rzeźby głównej, po prawej jej stronie, widzimy resztę dawniejszego krzyża, zrównanego po części (od góry), by miejsce zrobić nowszemu. Na tym ostatnim, na tabliczce nad głową Chrystusa, widać jakby litery alfabetu kirylickiego, oznaczające datę 17... Rzeźba ta ogromnych rozmiarów szczególnie sprawia wrażenie w miejscu samotnym, ocienionem tajemniczo szmerzącymi drzewami dokoła. Cześć, jaką odczuwa lud dla tej świętości, zabezpiecza skałę, bezsprzecznie ciekawy zabytek przyrody, od zniszczenia i łamania, zapewniając jej na długo całość. Ładna to rzecz, tak sam kamień jak i rzeźba w nim kuta, i nie dziw, że wiele wycieczkowiczów częściej ją zwiedza, szpecąc niestety bezmyślnem pokrywaniem datami i nazwiskami, które, jeśli chodzi o przekazanie ich potomności, lepiejby było uwiecznić staraniem o piękno miejsca tego, niż narażać się na litowanie się czyjeś nad niemądrymi ich właścicielami. I nie tylko kamień w Leśnikach pada ofiarą tej niesympatycznej bezmyślności, bo nawet cerkiew nie ostała się przed nią, szpeczona zawzięcie najrozmaitszemi głupkowatymi sentencyjami. I widocznie za mało tej hordzie wandalskiej desek samego budynku, bo autograf jakiejś Rosenduftówny czy Blattówny znalazłem na samem cyboryum w kaplicy bocznej! I po co właściwie dzicz podobna nawiedza te strony?!



KRASNOPUSZCZA KOŁO BRZEŻAN SPALONA CERKIEW DREWNIANA. fot. B. Janusz.

Opisana cerkiew, „monasterkiem“ zwana, stoi wśród lasu, jakiś kilometr za wsią. We wsi samej znajduje się druga — wiedziałem, że była drewniana, ale nie miałem pewności, czy zastaną ją jeszcze przy życiu, ponieważ Grono konserwatorów zawiadomione zostało swego czasu, iż gmina przystępuje do budowy cerkwi murowanej. Posiadałem wprawdzie rysunkową jej podobiznę, ale chciałem się przekonać, czy stoi jeszcze cała. Po jakimś większym deszczu wybraliśmy się na odszukanie jej i zdaje się, że już nie zapomnę widoku, który przedstawił się naszym oczom na drodze do niej. Istne Morze Czerwone roztoczyło przed nami mętne swe tonie, które nie jeden już, zda się, wóz z końmi i ludźmi połknęło, nie dla jednego bezrogiego stworzenia grobem się stało! I cóż mieliśmy czynić, znajdując się niemal koło cerkwi samej! Po długich namysłach i próbach udało nam się wreszcie kołując dotrzeć na miejsce. Nie wiedziałem, co prawda, co czeka nas na ślizkiej jak lód, spadzistej ścieżynce, ujętej z jednej strony i drugiej moczarem złowrogim. Dokazując cudów ekwilibrystyki, stanęliśmy w końcu koło cmentarza, a cerkwi ni śladu. Została tylko dzwonnica drewniana obok nowej cerkwi murowanej. I taka nagroda spotkała nas za tyle trudów i umartwień! Zmęczeni, zbłoceni, w najgorszym humorze zawróciliśmy, nie patrząc ani chwili na nienawistną świątynię murowaną. Dzień ów pamiętny źle się zapisał we wspomnieniach naszych, bo całkiem napróżno straciliśmy sporo czasu, a jeszcze więcej zmęczyli i strudzili.

Rozebrana cerkiew pod wezwaniem Zmartwychwstania Pańskiego zbudowana była w 1689 roku. W rzucie poziomym przedstawiała krzyż z odlamanymi ramionami bocznymi, a ciekawa była z tego względu, że kopuła nad nawą środkową nie była rozpięta, jak zwyczajnie na ośmiobocznym bębnie, lecz wyrastała od razu z dachu brzegowego, nakrywającego czworobok

podnawowy. Prezbiterium i babiniec nakryte były dachem dwuokapowym. Dzwonnicę, konstrukcyi krzyżowo-słupowej z półkolistymi wyglądami arkadowymi nakrywa zwykły dach brogowy.

Kiedyindziej znów z Adamówki wyszliśmy na drogę, która zawieść nas miała do Posuchowa, zwanego tak — jak powiadają mieszkańcy tamtejsi — dlatego, że najbardziej bagnistym jest miejscem w tych stronach, a więc podobnie jak się rzecz ma z Przylądkiem Dobrej nadziei, u którego właśnie najlepsza trafia się sposobność szybkiego przeprowadzenia się na tamten świat. Nim jednak przez błota i kałuże dostaliśmy się do Posuchowa, zatrzymaliśmy się dwukrotnie przy drodze celem sfotografowania figury św. Mikołaja z dwoma dziećmi w balii — rzadko trafiającej się jako figury przydrożnej — tudzież całkiem ładnej kapliczki z kamienia ciosowego, zawierającej we wnętrzu Mękę Pańską, a zbudowanej w 1851 r. jak o tem głosi napis, kuty w kamieniu. Dochodzi ona do okazałej wysokości, wobec czego ze szczytu jej daleko można rzucić okiem na okolicę. Po utrwaleniu kaplicy na kliszy fotograficznej wybraliśmy się w dalszą drogę, zmierzając ku cerkwi posuchowskiej. Przed samą wsią ominąć ją musieliśmy, nie będąc w stanie przebrnąć niemożliwego błota, godnego wsi, noszącej miano Posuchowa; wzgórzami dotarliśmy szczęśliwie do samej góry, na której cerkiew się wznosi. Trud opłacił się całkowicie, bo znaleźliśmy wśród drzew ukrytą ładną cerkiewkę, najwidoczniej starszą i odmienną od tych, które dotychczas poznaliśmy w okolicy Brzeżan. Nie znalazłem nigdzie daty jej zbudowania, ale najniezawodniej sięga ona końca XVII lub początku XVIII w. W zarysie poziomym przedstawia się jak i poprzednia nakształt krzyża z odlamanymi ramionami bocznymi, najczęściej zresztą trafiający się u cerkwi naszych drewnianych. Odmienna zaś jest od wspomnianych poprzednio tem, iż nad nawą środkową niema kopuły, lecz trzykrotnie spiętrzony dach brogowy, uwieńczony krzyżem żelaznym. Babiniec i prezbiterium nakrywa dach dwuokapowy, załamany od szczytu. Charakterystyczne też jest u niej, iż wejście główne nie leży na osi budynku, jak u wszystkich niemal cerkwi w Galicyi, lecz umieszczone jest w bocznej ścianie babinca.

Nieopodal stoi dzwonnica konstrukcyi słupowo-krzyżowej z pięknymi wyglądami arkadowymi bezpośrednio pod zwykłym dachem brogowym. Od dołu odsłonięta, zaszalowana jest dopiero powyżej daszka ochronnego, t. zn. od połowy całej wysokości swojej do otwartych wyglądów arkadowych.

Dokoła cerkwi widać stare krzyże gro-

bowe, kute w kamieniu — nieco dalej rozciąga się cmentarz teraźniejszy, również przeważnie z pomnikami kamiennymi lub drewnianymi, naśladującymi kształty kamiennych.

Ostatnią wyprawę, najdłuższą i najuciążliwszą, przedsięwzięliśmy pewnego ładnego dnia do odległej kilkanaście kilometrów wioski Rohaczyna, gdzie według opowiadań znajdować się miała bardzo stara cerkiew drewniana. Nie żalowaliśmy wobec tego trudu i jak o ósmej rano wyszliśmy z domu, tak dopiero po ósmej wieczorem wróciliśmy z powrotem, nie spoczywając przez ten czas prawie ani chwili. Droga była ciężka i uciążliwa, bo chociaż krótsza od gościńca, ale prowadząca przez wzgórza i wertepy zakazane. Do tego nie mogliśmy po drodze nigdzie się pożywić i dopiero w jednej chacie dostaliśmy dzban pysznego podśmietania, ale bez kawałka chleba, bo o ten trudno jakoś było tego roku u chłopca naszego — to samo trafiło się nam i gdzieindziej, świadcząc, jakie spustoszenia poczyniły długie niepowodzenia w biednym i tak gospodarstwie naszego wieśniaka. Narzekali biedni ludziska na nieszczęścia, sypiące się jak z rogu obfitości, nie przeczuwając, iż w niecałe dwa tygodnie potem przyjdzie wielka powódź, wyleje Złota Lipa, przerwie się grobla na stawie w Urmaniu i woda zabierze, zniszczy i tę resztkę, którą zapobiegliwością największą uratować zdołali. A tak niestety stało się w początku września.

Na odrzwiach wejścia głównego, zdobnych w powabne nacinania, odczytałem rok 1713, jako datę zbudowania cerkwi rohaczyńskiej, stojącej pod opieką św.

Jerzego. I ta cerkiew przedstawia w zarysie poziomym kształt krzyża z odłamanymi ramionami bocznymi, a prezbiterium zakończone ma połową ośmiokąta. Z wyglądu zewnętrznego należy do zwykłego typu t. zw. jednobaniastego, a charakteryzuje ją, podobnie jak u cerkwi posuchowskiej, nie na osi budynku lecz z boku umieszczone wejście główne. Ładna zaś jest dla starannego wykończenia i linii szlachetnej. Dzwonnica konstrukcji słu-

powo-krzyżowej, oszalowana jest deskami pionowymi powyżej daszka ochronnego do niskich wygładów arkadowych, otwartych bezpośrednio pod gontowym dachem brogowym.

Prócz cerkwi i dzwonnicy nie znaleźliśmy nic ciekawszego w Rohaczynie, chyba wspomniećby jeszcze należało o pokazujących się tu w okolicy skałkach narzutowych, z których jedna większa stoi przy drodze.

Ostatnia to była wycieczka nasza, uwieczniona pomyślnym zresztą wynikiem, no i odbyta... bez deszczu. Projektowaliśmy wyprawę dalszą do Buszcza, celem obejrzenia starożytnego kościoła murowanego (znanego zresztą z opisów) i starej cerkwi drewnianej, ale dwukrotnie, kiedy już przygotowani byliśmy całkowicie do drogi, zaniechać musieliśmy zamiaru z powodu grożącej ulewy.

Ponieważ znam tę cerkiew z reprodukcji rysunkowej, więc dla uzupełnienia wiadomości o tego rodzaju zabytkach w okolicy Brzeżan i o niej jeszcze wspomnę. Jest to z rzutu poziomego cerkiew podobna do opisanej cerkwi z Posuchowa — ma również nad nawą środkową dach brogowy, ale jednokrotnie tylko spiętrzony. Co do pokrycia babinica i prezbiterium od posuchowskiej różni się tem, że dach dwuokapowy nad nimi jest również spiętrzony, a nie płaski jak u tamtej. Z zasady jednak pokrycia dachowego, najcharakterystyczniejszej cechy cerkwi drewnianych, pokrewna jest zresztą cerkwi posuchowskiej. Kiedy wspomnimy jeszcze o cerkwi spalonej w niedalekiej Krasnopuszczy, przedstawiającej typ t. zw. trójbaniasty, wów-



rys. B. Janusc.

BUSZCZE KOŁO BRZEŻAN. CERKIEW DREWNIANA.

czas zobaczymy, jak wszechstronnie reprezentowana jest cerkiewna architektura drewniana najcharakterystyczniejszymi okazami na tym stosunkowo niewielkim kawałku ziemi. Cerkiew na „Adamówce“, w Rohaczynie i w Leśnikach (w samej wsi) należą do najpospolitszego typu t. zw. cerkwi jednobaniastych; w Krasnopuszczy—do pokrewnych im—trójbaniastych; w Posuchowie i Buszczu do okazów z charakterystycznymi dacha-

mi spiętrzonymi i wreszcie oryginalny „monasterek“ w Leśnikach jest ciekawym okazem najpierwotniejszego budownictwa cerkiewnego. W powiecie brzeżańskim zachowało się jeszcze 29 cerkwi drewnianych, a najstarszą z nich jest ów „monasterek“ — inne pochodzą przeważnie z XVIII w. i podobne są na ogół do wyżej opisanych, charakteryzujących zatem dostatecznie Brzeżańszczynę.



Włodzimierz Antoniewicz.

ŻEGOTA PAULI.

(W setną rocznicę urodzin).

Jednym z pierwszych bezsprzecznie krajowców polskich jest Żegota Pauli, którego zasługi i starania na tem polu, ciężko, nieraz okupione, nie są tak jakby należało ocenione, są niemal pущzone w niepamięć. A przecież ideę poznania kraju ojczystego propagowaną przez „Warszawskie Towarz. Przyjaciół Nauk“ i wprowadzoną w czyn przez Z. D. Chodakowskiego, przeszczepił on na grunt galicyjski, a będąc rówieśnikiem Oskara Kolberga, był właściwie jego bezpośrednim poprzednikiem, który rozpoczął u nas pojmować ludoznawstwo jako umiejętność samoistną i wyzwoloną od służenia jedynie zadaniom i celom literackim. Warto więc przyrzeć się bliżej owej niezmiernie ciekawej i zasłużonej postaci, wspomnieć bodajby krótko, czem zasłużył się Żegota Pauli nauce polskiej — w setną rocznicę jego urodzin.

Pędzony chęcią większego zarobku przybył z Negen w Trewirskim ubogi krawiec Maciej Pauli do Galicyi i osiadł w r. 1811 na stałe w Nowym Sączu, jednając sobie wśród tamtejszego mieszczaństwa przyjaźń i szacunek. W trzy lata później przyszedł na świat jako drugi syn, Żegota Pauli i ukończywszy szkoły początkowe i gimnazjum w mieście rodzinnem, wpisuje się w r. 1832 na wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego. Już jako siedemnastoletni młodzieniec, silnie ulegając nurtującemu wówczas literaturę polską prądowi zbliżenia się do ludu wiejskiego, poznania niezmiernych skarbów jego poezyi rodzimej, a nadto zachę-

cony przez pracowitego etnologa ks. Głowackiego — puszcza się Żegota w pieszą wędrówkę po Galicyi, nie pomijając chaty ani dworu, wertując archiwa kościelne i klasztorne, notując i rysując wszelkie szczegóły interesujących go zabytków i wybitnych osobistości, ratując niejednokrotnie od zagłady niszczące dzieła sztuki i wykopaliska.

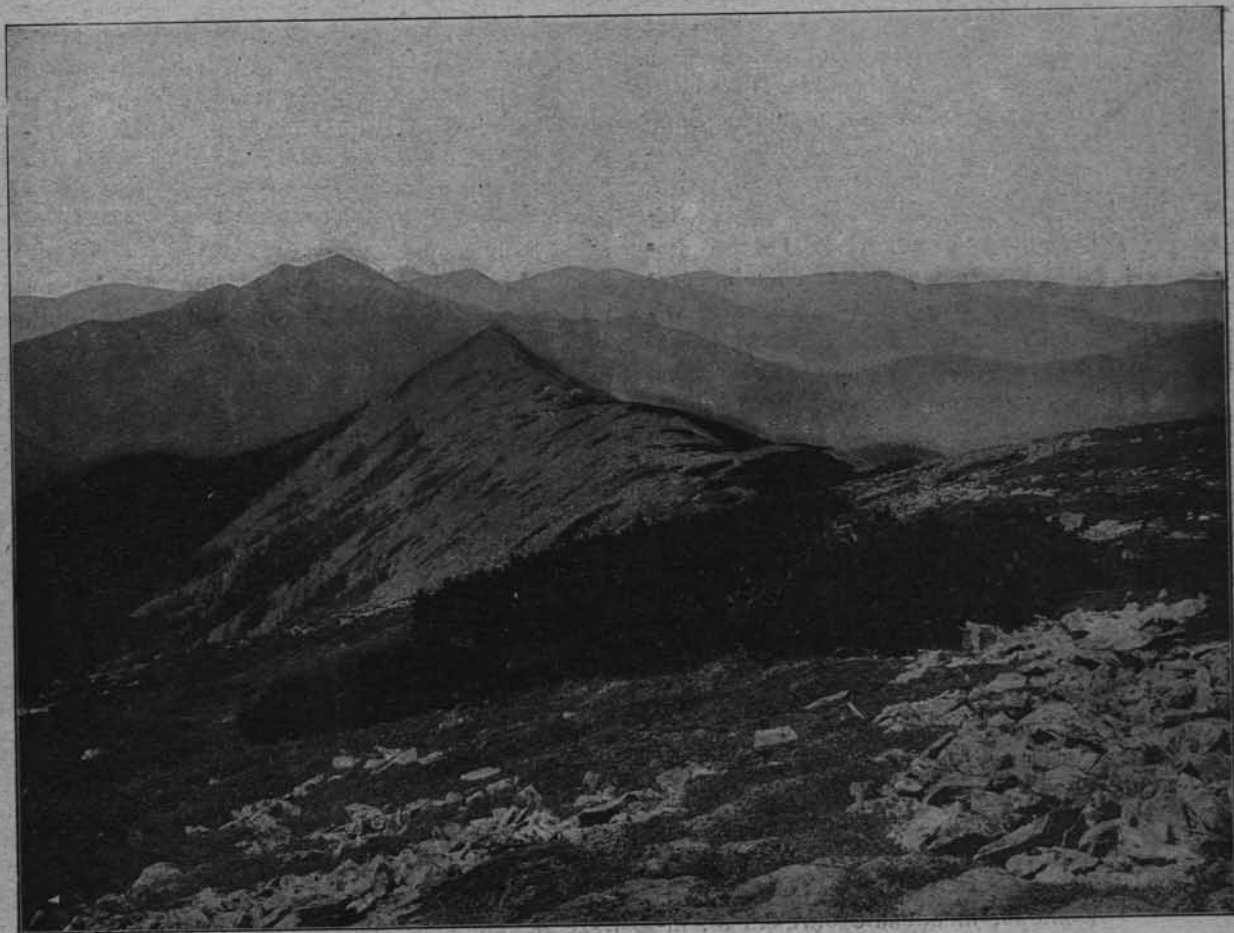
Po powrocie do Lwowa, utrzymując się z lekcji i przekładów, z pisania wierszy i artykułów literackich, pilnie rozszerza swe widnokręgi umysłowe, opracowując zarazem zdobyte w czasie podróży bogate materiały etnograficzne i opisowo-historyczne, zapoznając się z literaturą specjalną polską i obcą. Niestrudzone starania poprawienia sobie doli przez uzyskanie posady praktykanta przy bibliotece im. Ossolińskich udaremnia aresztowanie za podejrzwane współautorstwo pamfletu na rząd austriacki w r. 1835 i wpakowanie na kilka miesięcy do więzienia śledczego, gdzie pozostał do 1 lutego 1836 r.

Nacierpiawszy się niedostatku, wpisał się w r. 1834 na wydział medyczno-chirurgiczny, chcąc jak najprędzej zostać lekarzem wojskowym, by móżdż swobodniej, nie o głódzie i chłódzie, pracować nad ulubionymi dziejami Polski. Tymczasem zaś jął się zajęcia kopisty i korektora w „Gazecie lwowskiej“, a zamieszkawszy w r. 1840 z artystą-malarzem T. Żychowiczem, zaczął się żywo interesować historią sztuki polskiej, zyskując też cenne dla siebie wykształcenie w rysunku. Lekarzem wojskowym nigdy



Chrzcielnica marmurowa w Bejscach, pow. pińczowski.

fol. J. Steinböckowa.



rol. ze zb. Pol. Tote Krajozn

GORGANY. WIDOK Z SINIAKA NA DOBORZANKĘ

nie został, począł natomiast wydawać utwory dawnych autorów, wygrzebane z pod pyłu wieków, co przynosiło mu pewne dochody. Tak ujrzaly światło dzienne „Poezye Jana Gawińskiego z Wielomowic“ (Lwów 1843), a niezadługo „Samuela Brodowskiego: Żywoty hetmanów Królestwa Polskiego i W. Ks. Litewskiego, z materyałów w Podhorcach znalezionych“ (Lwów 1844).

Ale „fortuna kołem się toczy“ — i dla Żegoty nastaly lepsze chwile. W r. 1844 bowiem zaproponował mu Adam hr. Potocki posadę w Krakowie sekretarza i bibliotekarza, którą rzecz naturalna przyjął skwapliwie. Dzięki swej skrupulatności i nadzwyczajnej orientacyi w sprawach wszelakich zyskał wielkie zaufanie chlebobawców, którzy powierzali mu swe interesy daleko poza granicami Polski w Wiedniu, Pradze, Monachium, Berlinie, Dreźnie i t. d., dokąd nader chętnie i często udawał się Pauli, zwiedzając po drodze miasta polskie: Warszawę, Wrocław, Poznań i inne pomniejsze, zbierając wszędzie wiadomości o starożytnościach polskich, które uważał „za pierwszą podstawę dziejów każdego narodu“, mniemając „że należą niezaprzeczenie do najciekawszych

i najważniejszych przedmiotów naukowych“. Mając sporo czasu wolnego poza zajęciami obowiązkowymi, podówczas dopiero nabył rzeczywistego wykształcenia i pewności siebie, które go odtąd cechują. Nie ustał bynajmniej w pracy wydawniczej, ogłaszając drukiem „Pamiętniki do życia i sprawy Samuela i Krzysztofa Zborowskich“ (Lwów 1846), „Jana Potockiego podróż do Turcyi i Egiptu“ z wiadomością o życiu i pismach tego autora (Kraków 1849) i t. d. Wtedy również napisał „Historję księstwa Oświęcimskiego i Zatorskiego“, za którą w r. 1850 ówczesny gubernator Galicyi polecił mu przesłać podziękowanie.

Nie wystarczyło wszakże Żegocie posiadane stanowisko, chciał znaleźć coś bardziej odpowiadającego kierunkowi jego studyów, mając wielką ochotę zostać praktykantem Biblioteki Jagiellońskiej. Gdy jednak nadzieje zawiodyły, a nadto gdy stracił z niewiadomych bliżej powodów miejsce u Potockich, którzy na zawsze dlań zachowali uznanie i szacunek — znalazł się „na bruku“ i musiał znowuż zarabiać na życie tłumaczeniem i sporządzaniem korekt. Zbyt był szczery i prawdomówny, może zanadto nie obwijał nawet spraw drażliwych w pla-

szczyk obłudy i wymuszonego wyrozumienia — aby cieszyć się wieloma przyjaciółmi; przeciwnie owe zalety charakteru przysługiwały mu wiele wrogo dłań usposobionych jednostek, które na każdym kroku dawały znać o sobie. Dzięki nim nie był w stanie otrzymać stypendium im. Śniadeckich, zajęcia w „Archiwum aktów grodzkich“ i t. p. Mimo to nie zmienił postępowania, jedynie — zdaniem jego — godnego postępowania człowieka uczciwego, wołał dalej borykać się z przykrym dłań losem, aniżeli sprzeciwić się własnym pojęciom. „Zresztą widzi Bóg“ — mawiał — „iż żadną, choćby i ciężką pracą i godziwym zarobkiem nie pogardzam, byle nie był grzesznością, dobrodziejstwem i jałmużną...“

Podziwiać musi się zaiste ową tężyznę charakteru i siłę fizyczną u Żegoty Paulego, która pozwoliła mu mimo tak srogich warunków życia na przysporzenie chwały i pożytku nauce polskiej. Pomimo pracy nad siłą, wyzyskiwanej przez widzącego palącą potrzebą zarobku zarządcę drukarni, do którego razu pewnego pisze „mniemam, iż 20 centów za godzinę nie jest zbyt wygórowanym żądaniem, tyle zarobić może express stojący na posłudze w czerwonej czapce na rynku, tyleż wyrobnik, co kamienie w bogatych kramach kruszy, nie potrzebując do swej roboty znajomości klasycznej i średniowiecznej łaciny, języka francuskiego, włoskiego, niemieckiego, ruskiego, historii, geografii i t. p.“ — potrafił Żegota uciąć skromny fundusik na liczne wycieczki po kraju, oraz na większą w r. 1854 podróż w Tatrzy i na Śpiż dla badań historycznych i etnograficznych.

Skołatany fizycznie pragnął spokoju dla dalszych studyów na polu wszystkich niemal nauk pomocniczych historii polskiej i dlatego chętnie zamieszkał w r. 1856 w skromnej izdebce w klasztorze oo. bonifratrów na Kazimierzu, gdzie spędził resztę znojnego żywota. W dalszym ciągu publikował Żegota chętniej naogół czytowane opracowania, do Paprockiego „Herbów rycerstwa polskiego“ udzielił „Wiadomość o życiu i pismach Bartł. Paprockiego“, przedmowę i przypisy dodaje do St. Orzechowskiego „Ziemianin, albo rozmowa ojca z synem“ (Kraków 1859) i do Wacława Rzewuskiego „Psalmy pokutne“ (Berlin 1861) i w. in., dostosowując się z musu do swego rodzaju aktualności ze szkoda innych prac z zakresu historii i jej nauk pomocniczych, bibliografii, etnografii, dziejów kultury i sztuki oraz krajoznawstwa w ścisłym tego wyrazu znaczeniu, które musiały spocząć jako rękopisy w tekach, przechowywanych obecnie w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie.

Raz jeszcze i to ostatni lecz na dłużej na-

stała dłań lepsza dola. Światły bowiem autor „Bibliografii polskiej“ dr. K. Estreicher, stawiając wyżej zasługi naukowe nad zalety towarzyskie, ofiarował Paulemu w r. 1870 stanowisko amanuenta przy księżnicy Jagiellońskiej. Dzięki swej skrętności i fenomenalnej wprost pamięci wiele wówczas zdziałał Żegota przy porządkowaniu zbiorów bibliotecznych, wiele też sam skorzystał, odkrywając raz po raz istne skarby dla swych studyów w rodzaju rzadkich, starych rękopisów i druków. Nie upłynął rok jeszcze jak Żegota na zaproszenie Senatu Wszechnicy Jagiellońskiej podjął się opracowania dzieła, poświęconego historii owej pierwszej i największej placówki nauki polskiej. W przeciągu lat czterech zdołał wydrukować cztery tomy, obejmujące źródła dziejowe od r. 1365—1548 p. t. „Codex diplomaticus universitatis studii generalis Cracoviensis“ (Kraków 1870—84), które — jak słusznie wyraził się L. Lepszy¹⁾ — „są fundamentalną podwaliną historii naszego uniwersytetu i oświaty w Polsce“, mimo znacznych usterek natury metodycznej. Jak gdyby dodatkiem jest „Album studiosorum univer. Cracov“ (ab anno 1400 ad a. 1434, Kraków 1883), którego wszakże ukazała się jedynie część pierwsza.

Uznanie dla Żegoty Paulego, choćby czyśto idealnej natury, było w jego życiu rzadkiem bardzo zjawiskiem. W r. 1845 spotkało go pierwsze ocenienie jego działalności naukowej ze strony „Krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk“, potem dopiero w r. 1868 zamianowało go członkiem „Tow. dla historii i starożytności Śląska we Wrocławiu“ („Verein für Geschichte u. Altertum Schlesiens“), a w osiem lat później „Lwowskie Towarzystwo Archeologiczne“ przesało mu dyplom członka honorowego. Wreszcie w r. 1881 posiadał Żegota tytuł historyografa uniwersyteckiego, posadę, istniejącą na podstawie fundacji Sebastjana Petrycego z r. 1622, nadawaną przez każdorazowego księcia-biskupa, ongi hojnie uposażoną, dziś tylko honorową.

Mniej wydajną była działalność naukowa Paulego u schyłku życia. Zabrał jeszcze w r. 1891 głos, mocno i źródłowo umotywowany, „W sprawie o Morskie Oko“, pisywał wartościowe drobne artykuły w krakowskich „Wiadomościach numizmatyczno - archeologicznych“ i był gorliwym ich korektorem. Sędziwy starsuszek nikł zresztą niemal w oczach, żarty przez tyle lat srogimi warunkami bytu. To też nie była niespodzianką smutna wiadomość

¹⁾ „Żegota Pauli“ „Wiadomości numizm.-archeol.“, Kraków 1897, skąd wzięliśmy szczegóły biograficzne.

o śmierci jego 20 października 1895 roku w cichej klasztornej celi...

*

Pierwsze poważniejsze kroki począł Żegota Pauli stawiać na gruncie ludoznawstwa polskiego, a jak już wielokrotnie wspomniano, późno zaczęto się u nas zajmować — w stosunku do zagranicy — naukami antropologicznymi, zwłaszcza zaś etnografią, w skład ich wchodzącą. W początkach swoich badania ludoznawcze nie miały nawet na celu zobrazowania stanu kultury duchowej i materialnej ludu wiejskiego, jej niejednokrotnie odległej starożytności, sięgającej w ciemną głąb przeddziejowych jeszcze czasów, ale służyły niemal wyłącznie dla zaspokojenia wzruszeń artystycznych poetów, szukających w twórczości ludowej ożywczej krynicy dla swych pomysłów i tendencji. W tym też przeważnie celu opublikowano w r. 1806 i 1813 drobne zbiorki polskich i ruskich pieśni wiejskich. Wprawdzie dawały się słyszeć od pewnego już czasu głosy Hugona Kołłątaja i Jana Pawła Woronicza o naukowym też znaczeniu wierzeń i utworów ludu, nie zdołały one jednak wzbudzić należytego oddźwięku, przeminęły prawie bez echa. Nie wyzwoliły się jeszcze z ogólnych ram owych bezspornie bardzo cenne zbiory piosenek wieśniaczych Z. D. Chodakowskiego (Ad. Czarnockiego), Ł. Gołębiowskiego, K. Wł. Wójcickiego, wreszcie Wacława z Oleska (Zaleskiego), którym brak także ścisłości i metody naukowej w publikowaniu zebranych materiałów. Prace te nie mogły się wyzwolić od służenia niemal jedynie zadaniom tudzież celom literackim, a widać wyraźnie, iż zależy im przeważnie na zgromadzeniu jak największej ich ilości o wątku tajemniczym i osobliwym, zwłaszcza ze świata duchów i czarów. Znacznie ponad ten poziom wyniosły się bez wątpienia dzieła Żegoty Paulego „Pieśni ludu polskiego w Galicyi“ (Lwów 1838, str. 234), przygotowane do druku już cztery lata wstecz, tudzież „Pieśni ludu ruskiego w Galicyi“ (2 t. Lwów 1840, str. 177 i 205 nl. 50), w których stara się autor wyjaśnić pierwotne znaczenie niektórych przejawów życia codziennego ludu naszego, ugrupowuje i stara się nieraz odtworzyć na ich podstawie dawne uroczystości i wierzenia, wskazując na ich treść właściwie pogańską.

Do pieśni obrzędowych dołączone są opisy towarzyszących im ceremoniałów, „aby tem łatwiej — jak mówi w przedmowie — „wykazać ducha, w jakim się one odbywają, i pieśni, które z obrzędami ściśle są związane, łatwiejszemi do zrozumienia uczynić...“ Ponadto znajdujemy uwagi porównawcze z pieśniami i obrzędami innych plemion słowiańskich „do po-

znania jak jeden i ten sam duch jeszcze cały ogromny przestwór ożywia, którego części różnym uległy przemianom; i jak jedne i też same myśli ze wspólnego niegdyś źródła czerpane, mimo tylu wieków przetrwały...“

Naturalnie, iż obecny stan etnografii wymaga znacznie więcej, iż nie może zadowolić się takimi jeno obserwacjami, lecz skoro się weźmie pod uwagę chwile dzieciństwa ludoznawstwa polskiego, w których zbiorki Paulego powstały, musi się mieć należne uznanie dla nowych podówczas idei przezeń podjętych, będących podwaliną pod gmach etnologii polskiej.

Równocześnie na licznych wycieczkach po Galicyi interesował się Żegota również niemniej gorliwie starożytnościami polskimi, żywo odczuwał całe piękno i urok widzianych krajobrazów — jak wnosić można — z „Wyimków z podróży po Galicyi w r. 1831“, drukowanych w „Rozmaitościach“ lwowskich (1835, № 47—52). Zdradza przytem wyjątkowe zaiste czytanie w źródłowej literaturze, tyczącej opisywanego tam Wojnicza, Lusławic, Zakliczyna, Melsztyna, któremu nadto poświęcił większy artykuł w „Lwowianinie“ (1837, II) — Czchowa, Rożnowa, Zbyszyc, Chelmca, Nowego i Staro Sącza, Rytra, Jazowska, Łącka i Krościenka, dokąd dotarł, idąc w Pieniny wzdłuż biegu Dunajca. Mimo tak młodego wieku — miał lat 17 — potrafił patrzeć bystrem okiem na zwiedzane zabytki dzięki nad wiek posuniętemu rozwinięciu, oraz zamiłowaniu, które od dziecka czuł do dziejów ojczystych.

Sporo materiałów źródłowych jako też rysunków i opisów nader wielu „świadków lat minionych“ zdobył w czasie swej długiej wędrówki po kraju. Wydał je częściowo w roku 1840 we Lwowie p. t. „Starożytności galicyjskie“; było to pierwsze dzieło wybitnie i ściśle krajoznawcze polskie. „Starożytności“ — pisze w słowie wstępnem — „jako pierwsza podstawa dziejów każdego narodu, należą niezaprzeczenie do najciekawszych i najważniejszych przedmiotów naukowych. One to obznajamiają badacza z niejednym ciekawym szczegółem przeszłości i dają czy to pisarzowi, czy to artyście wierne wyobrażenie życia domowego i publicznego przodków. Brak podobnego dzieła u nas, podczas gdy inne narody z wielką skrzętnością wszystkie swe zabytki starożytne w pismach zebrały, spowodował mnie także do wydania „Starożytności galicyjskich“, któreby w wiernych rysunkach i dokładnem opisanu przedstawiały wszelkie pomniki, znajdujące się w rozmaitych stronach kraju naszego, jako to: zabytki malarstwa i rzeźbiarstwa, wizerunki sławnych osób, starych nadgrobków, ubiorów,

zbroi, sprzętów i tym podobnych ciekawych rzeczy, do czego mi znajomość kraju stosowną sposobność stręczyła. Było prócz tego zamiarem moim dla lepszego poznania dołączać do wspomnianego dzieła obszernie rozprawy naukowe, dotyczące się pojedynczych przedmiotów starożytności“.

„Jednakże dzieło niniejsze za ledwie rozpoczęte, mimo mych najszczerzych chęci, nie mogło dokonać swego przeznaczenia. Zbyt mała liczba kilkunastu świątłych obywateli, którzy z wrodzoną sobie gorliwością przez prenumeratę w części wsparli moje przedsięwzięcie, za co im tutaj winne składam podziękowanie, nie wystarczyła na opędzenie znacznych kosztów, jakich nakład dzieła, zwłaszcza u nas, wymagał i jakich sam ponosić nie byłem w stanie. Dla tego też nierównie znaczniesza część przysposobionych materyałów aż do innego czasu nieogłoszona musiała pozostać“.

„Mimo tak wąskiego obrębu, w jakim dzieło obecne pozostało, znajdzie w nim przecie uważny czytelnik niejednen przedmiot ciekawy i mało znany, mogący służyć ku wyświeceniu kilku niejasnych jeszcze miejsc w dziejach kraju. Przy ułożeniu wiadomości korzystałem z niektórych rzadszych dzieł i rękopismów, wystrzegając się ile możności od zawłości i błędów. Służyło mi za gwiazdę przewodnią przy mych pracach owe sławne Herburtów godło: „Prawdą a pracą“ i dlatego też za wielki występek poczytuję każde lekkomyślne skażenie dziejów przez ogłaszanie podrabianych ramot lub utworzonych przez siebie dat historycznych, jakiego sobie niektórzy dla nadania powagi swym pismom ze szkodą ogółu pozwalają“.

Na bogatą treść złożyły się artykuły: 1) Stanisław i Anna Oświęcimowie, 2) Posąg starożytny na górze Wronowskich we Lwowie, 3) Grobowiec Rafała Tarnowskiego w Przeworsku, 4) Samuel Zborowski, 5) St. Tarło i nadgrobek tegoż w Krośnie, 6) Nadgrobek Krzysztofa Herburt w Fulsztynie, 7) Jan

Herburt z Fulsztyna, 8) Roksolana, 9) Starożytne zbroje i narzędzia znalezione w Galicyi, 10) St. Stadnicki, starosta zygwulski, 11) St. Orzechowski, 12) Pomnik St. Jabłonowskiego, hetmana wielkiego koronnego, 13) Popielnice, znalezione w Galicyi, 14) Szymon Okólski, 15) Gedeon Bałaban, 16) Najstarsze pieczęcie miasta Tarnowa i Nowego Sącza, oraz 17) Nadgrobek Jana Siemieńskiego w Rymanowie — wszystkie objaśnione dobrymi rysunkami.

Bardzo mało orientował się Żegota Pauli, jak z rozprawek wyżej wymienionych w tym zakresie przebiega się, w archeologii przedhistorycznej, nie wznosi się też bynajmniej ponad poziom współczesnych mu starożytników-dyletantów. I dla niego wszystkie wykopaliska są pozostałością po pradawnych Słowianach, każde naczynie popielnicą lub łzawnicą, umbo od tarczy mimo małych rozmiarów hełmem, miecze bronzowe nożami ofiarniczymi, a o siekierce kamiennej przypuszcza, „że była narzędziem ofiarniczem i że nią także na zgłiszczu spalone kości zmarłego tłuczono, aby się łatwo do popielnic zmieściły...“ (str. 27).

Tyle tylko zdołał ogłosić drukiem. Bez porównania więcej pozostało w rękopisach, dotąd niewydanych. Oprócz wartościowych „Cracoviensia“, „Galicyana“, szkiców zawierających przyczynki do politycznych i kulturalnych dziejów Polski, bibliografii i biografii, znajdują się tam również niezwykle cenne wiadomości krajoznawcze do folkloru i lingwistyki porównawczej (Nr. 5371—5394 Bibl. Jagiel.), których treść w dosłownem brzmieniu podaje „Przewodnik bibliograficzny“ z r. 1896 (str. 59—61, 122, 123, 143).

Tyle potrafił zdziałać jeden człowiek kosztem poświęcenia się całkowitego dla dobra nauki. Nie zyskał pamięci u następców, ale dzieła jego są najlepszym pomnikiem nie tylko pracowitości nad wyraz i wiedzy, ale również ducha i charakteru, miłości ojczyzny i patriotyzmu, pomnikiem wreszcie zaiste górnego idealizmu.



Z NASZEJ TURYSTYKI.

Maryan Mechowicki.

Z podróży do Australii.

2)

Do lądu podwozi nas mały parowiec portowy, zwiedzamy więc miasto, niegorzej od Wenecyi opisane w literaturze i poezyi wszechświatowej. Ulice szerokie i ruchliwe, zato trochę brudnawe i mocno zakurzone. Ponieważ zamało jest czasu na wycieczkę w stronę Wezuwiusza, jedziemy w drugą stronę do okolicy zwanej Posilipo, gdzie jakoby wskazują pieczarę zwaną Casa di Vergilio, w której miał być pochowany piewca Eneidy. Komunikacja jest wprawdzie bardzo dobra, gdyż tramwaj dowiół nasze towarzystwo prawie do samego miejsca, lecz zakurziliśmy się tak, że tego nie okupią widoki: pięknej zatoki Neapolitańskiej, ani winiarni wykutej w skale, ani tragarzy odzianych tylko w spodnie i rozpiętą marynarkę — bez koszuli. To też zdziwiłem się niepomalu, gdy pomimo to wszystko jedna z pań tak dalece posunęła się w swym niemieckim sentymentalizmie, że pokasłując zanuciła słynną Santa-Lucię. Zresztą cała miejscowość stanowi rzeczwiście jeden piękny ogród na dość stromo opadających ku morzu tarasach, ale w tym czasie cichy to i spokojny, a co najważniejsza zakurzony zakątek, a o Casa di Vergilio nikt nie potrafił nic powiedzieć, chociaż jest rzeczą dowiedzioną historycznie, że tu gdzieś był pochowany.

Niemcy kończą wycieczkę żądaniem b i e r w jednej z knajpek zacisznych. Ja mimo upału wolę wino włoskie.

Do portu wracamy już późnym wieczorem, nagabywani dyskretnie w lamanej angielszczyźnie przez pojedyncze indywidua obywatelskie, wyrażające gotowość zaprowadzenia za skromną kompensatę do przybytku, gdzie tańczą *women without dresses*. Kręci się też tu cały zastęp ludzisków, co żyją — mówmy bez ogródek — z okpiwania podróżnych na pocztówkach, muszelkach i t. p. Tak, to już są południowe Włochy.

Bez względu na hałas, wytwarzany przez ładowanie, idziemy spać o 10, aby nazajutrz wstać o świcie, gdyż właśnie będziemy wyjeżdżać na morze, i będą znów piękne widoki.

*

Na jasnym tle nieba wyraźnie odbija się ciemna wązka smuga dymu, co się z krateru Wezuwiusza literalnie sączy, tak jest ciężki i jakby tłusty. Płynąc na południe objeżdżamy wulkan tak, że obserwować go możemy po kolei z trzech stron. Koło to prawdziwy, ale masy górskie po drugiej stronie pięknej zatoki Sorrento są jeszcze większe. Widoki istotnie nieźrównane. Dosłownie oderwać się od nich nie można, to też wielu podróżnych nie schodzi wcale jeść. W rzeczy samej, po opłynięciu We-

zuwiusza odkrywa się cudna i jakaś tajemnicza głęboko wrzynająca się w ląd wspomniana już zatoka Sorrento. Dalej przepływamy obok wyspy Capri, co wysoką, pionową ścianą wychodzi z wód, a jeszcze dalej otwiera się panorama wielkiej zatoki Salerneńskiej, Niebotyczne góry tworzą perspektywę jej brzegów, a podróżny całymi godzinami oczu od nich nie odwraca. O 5 po południu dojeżdżamy do jej południowego przylądka, jednocześnie wynurza się z morza olbrzym Stromboli. Wulkan ten ma kształt prawie regularnego stożka, u wierzchołka tylko ma od północy wklęsnięcie, z którego właśnie wolno wysuwa się biały obłok dymu, zupełnie niepodobny do dymu Wezuwiusza. Obłok ten łączy się bezpośrednio z chmurami, co zaczepiają o szczyt wulkanu, ciemno-popielaty od materiałów wyrzucanych z wnętrza krateru. Bardzo strome boki góry mają barwę brunatną i powierzchnię, zdaleka zdradzającą skalę ogniowego pochodzenia. Niżej skąpa roślinność rozwesela nieco wzrok szarawą zielonością. Całość tworzy swym ogromem złudzenie, że jesteśmy względnie blisko, rozwiewa je dopiero widok czegoś jakby garstki białych muszelek rzuconych na brzeg, gdy jednocześnie ktoś z załogi objaśnia, iż jest to osada rybacka.

Ostatnie piękne widoki giną wraz z nadchodzącą nocą. Nazajutrz widzimy już tylko smutne, zrujnowane brzegi cieśniny Messyńskiej. Nietylko wielkie miasto Messyna i okoliczne miasteczka wzdłuż całej cieśniny, ale nawet góry na obu jej brzegach robią przykre wrażenie, jakby cała roślinność obsunęła się z nich. Wreszcie ląd stały niknie z oczu podróżnego, który teraz przez całe trzy doby będzie się obywatel bez jego widoku.

Czyni się nudno na statku, podróżni wyciągają książki do czytania, inni starają się o nie w bibliotece okrętowej. Z tego przywileju korzystają tylko I i II klasa. Ciekawi uzyskują pozwolenie zwiedzenia wszystkich ubikacji okrętowych.

*

Trzeciego dnia o zachodzie słońca jesteśmy mniej więcej w tym miejscu, gdzie przed laty nasz nieśmiertelny wieszcz napisał swoje „Smutno mi Boże“. Ponieważ moi towarzysze podróży nie rozumieją po polsku, deklamuję w pięknym esperanckim przekładzie A. Grabowskiego:

Mi malgôjas, Sinjoro! Por mi okcidente
Vi etendis arkaron radie brilantan,
Kaj estingas in akvo lazura silente
Vian stelon flamantan...

Koankam maron, cielon Vi kovris per oro,
Mi malgôjas, Sinjoro! ..

O esperancie każdy conajmniej już coś wie. Zresztą zachodni Europejczyk znajduje w nim tyle swojskich pierwiastków, że nie ucząc się rozumie wiele. Jeżeli nie powiedzie mu, co to za język, w 9 wypadkach na 10 będzie przypuszczał, że hiszpański, może dlatego, że brzmienia są podobne, a język hiszpański jest najmniej znany z języków zachodnich.

Rano dnia następnego ukazuje się wreszcie ląd. Około godziny 9 wjeżdżamy do portu Saida. Wita nas posąg Lessepsa, ustawiony na kamiennej grobli, wysuniętej daleko w morze. Port jest to poprostu rozszerzone i pogłębione ujście kanału Suezkiego, jest jednak obszerny i wygodny. Stoi tu i rusza się swobodnie ze 100 ogromnych oceanicznych statków.

Miasteczko zabudowało się na piaskach pustyni, korzystając z niedużej wyniosłości nad samem morzem, gdyż dalej wgląd ciągną się bagna i płytkie jeziora. Miasto posiada już ten styl podcieniowy, który rozwinęli Europejczycy przy kolonizacji krajów w klimacie gorącym. Ruch kołowy w mieście nieznaczny: kilkanaście dorożek, wprawdzie na gumach, ale dość zaniedbanych, zaprzężonych w parę niedużych i chudych lecz wyraźnie arabskich ogierów czy klaczy, a oprócz tego tramwaj, przy którym dawne warszawskie konne tramwaje wyglądałyby po królewsku, ciągniony przez muła i kursujący po szerokich łokieć szynach raz na pół godziny.

Zato na ocienionych chodnikach pieszy ruch dochodzi do tłoku. Naturalnie, główny kontyngens przechodniów stanowią zwiedzający miasto podróżni ze statków, co w porcie zaopatrują się w węgiel i wodę. Poza tem cała masa tubylców ze wszystkich stykających się tu ras. A więc: Grecy, Turcy, Koptowie, Arabowie o względnie jasnej skórze i Arabowie afrykańscy, tylko o wyraźnym typie arabskim lecz czarni jak heban; wreszcie Murzyni najczystszej krwi. Tu i owdzie przewija się czerwony zawój Hindusa — to służba okrętowa towarzystwa Orient. Pod werandą wielkiej kawiarni usiadł na terakotowym chodniku czarownik Fellach i wydłuża szylingi magicznemi sztukami. Jest rzeczywicie bardzo zręczny, wyjmuje parę żywych kurcząt z woreczka, który przed chwilą wytrzepał starannie na obie strony, wczarowują jaja pod metalowe kubki rozstawione na podłodze i t. p. Sądząc jednak z honoraryów, zbieranych od najzupełniej przygodnej klienteli, musi mieć się nie gorzej od niejednego początkującego lekarza w Europie, a bez porównania lepiej niż bardzo wielu fachowców polskiego pochodzenia, co po kilkunastu latach szkół pracują w krajowym przemyśle, który tak bogate plony daje nietylko wszelkim bliższym sąsiadom, lecz

ostatnimi czasy i dalszym, jak Anglikom, Szwedom, a bodaj czy i nie Amerykanom.

Należałoby jeszcze zwiedzić tubylczą część miasta, ale na to już brak czasu. O pierwszej ruszamy dalej, mamy bowiem przed sobą kilkanaście godzin bardzo powolnej drogi kanałem wśród pustyni i skwaru. W północnej swej części kanał Suezki jest jeszcze względnie szeroki, ponieważ nie trudno go było rozszerzyć wśród niskiej bagnistej miejscowości, dawniej stanowiącej nawet dno morza. Początkowo idzie on wzdłuż wschodniego brzegu dużych płytkich słonych jezior, na których zdała widać kilka żagli. Potem jeszcze jakiś czas towarzyszy nam od zachodu wązki pas zieloności, starannie podtrzymywany wzdłuż biegnącego obok rowu ze słodką wodą, doprowadzoną tu na użytek oaz aż z Nilu. Miejsce, gdzie rów ten podchodzi z głębi kraju do kanału, stanowi owszem znaczną przestrzeń porośniętą dzikimi krzakami i trawą, a nieco dalej wysuwa się z poza tej „puszczy“ plant kolejowy — to kulturalna droga łącząca Kair z Suzezem. Od wschodu zato, jak okiem sięgnąć, płaska, równa, szara pustynia. Raz tylko z tamtej strony podjechał do kanału Arab na ślicznym, karym jak kruk, wielbłądzie.

Im bardziej grunt się podnosi, tem bardziej kanał zwęża się. W końcu jest tak wązki, iż własnym oczom nie chce się wierzyć, jak może olbrzym statek płynąć taką strugą. Widać doskonale, jak woda podnosi się o kilka stop za naszym nadpłynięciem i jak potem z szumem opada za statkiem. Gdyby sternik na chwilę odwrócił uwagę, stanęlibyśmy jak wryci, bowiem długość statku jest conajmniej cztery razy większa od szerokości kanału, i najmniejsze odchylenie w ukos od jego osi sprawdza katastrofę. Wolno bardzo poruszane śruby podnoszą całe kłęby mułu z dna, a często skrzydła pękają.

Co kilka wiorst kanał rozszerza się w basen, gdzie krzyżujące się statki oczekują wzajem na siebie. Do takich rozjazdów należą też jedno duże i dwa mniejsze t. zw. Torskie jeziora. Wzdłuż kanału idzie linia telegraficzna i telefoniczna, a prócz tego statki są w nocy oświetlone specjalnymi reflektorami, które zakłada służba kanałowa.

Wśród nocy błyszczą światelka w oknach domów stróżniczych. Przejeżdżając obok jednego z nich, słyszymy w ciemnościach z wysokiego brzegu miły głos kobiecy, błagający w języku francuskim o trochę muzyki (służba na niemieckich statkach zespolona jest w orkiestrę). Można sobie wyobrazić życie tej kobiety tu, chociażby pod Paryżem zajmowała się tylko dojeniem krów.

C. D. N.



Z piśmiennictwa.

Ekonomista. Świeżo ukazał się tom II „Ekonomisty”, zamykający sobą drugi kwartał roku bieżącego; tom ten wyszedł w podwójnej objętości i zawiera z górą 25 arkuszy — 390 stron druku. Na czele bogatego w treść tomu mieści się praca ks. dr. Aleksandra Woycickiego, profesora socjologii Petersburskiej Akademii Duchownej, który pisze o „Instytucjach fabrycznych i społeczno-robotniczych w przemyśle Królestwa Polskiego”. Tom drugi „Ekonomisty” zawiera pierwszą część wyczerpującej monografii, która opiera się na bogatym materiale faktycznym. W dalszym ciągu zarys „Studyów nad położeniem włościan w Polsce w XVIII wieku” rozwija dr. Jan Rutkowski. Trzecią część pracy o „Skupieniach miejskich w Królestwie Polskim”, traktującą o „Strukturze skupień miejskich w Królestwie Polskiem w poszczególnych okresach XIX wieku”, podaje p. Edward Grabowski. Do pracy dołączona jest mapa kolorowa, wykazująca zaludnienie powiatów Królestwa Polskiego oraz tablica graficzna, przedstawiająca linie rozwoju ludności miejskiej w Królestwie. Doniosłą sprawę „Społecznego znaczenia metody Taylora” referuje p. Zofia Posnerowa. Całości dopełnia bogata „Kronika ekonomiczna”.

oooooooo

Kronika krajoznawcza.

+ Od roku przeszło dzienniki francuskie przepełnione są artykułami wstępnymi, informacjami krótszemi lub dłuższemi i wezwaniami do ogółu narodu w sprawie — turystyki. Mniej interesujący cudzoziemców, ruch ten miał jednak dla Francuzów znaczenie tak głębokie, tak się wiązał z ukochaniem kraju, z podniesieniem jego uroków w punktach, które szwankowały i ze wzmożeniem bogactwa, w czarach malowniczości krajowej istniejącego, że ostatecznie prezes izby deputowanych, ministrowie dawni i obecni, senatorowie i deputowani utworzyli komitet, który ruch pomieniony ujął w silną, zwartą i bezprzykładnie szeroką organizację.

Idzie ni mniej ani [więcej o to, aby turystów, dążących tłumnie do Szwajcaryi, Włoch, Niemiec i Austrii, skierować do Francji, aby Francuzów zatrzymać w kraju siłą tych wszystkich magnesów, jakie ich ciągną za granicę i ażeby z turystyki uczynić potężny artykuł handlu krajowego.

Ponieważ zasady, na których akcja ta się opiera, są pouczające dla innych i w kraju, który posiada góry Świętokrzyskie, malownicze okolice Kazimierza i Puław, górskie krajobrazy Ojcowa, pełne uroku wąwozy i wzgórze Złotego Potoku, który ma Wilanów, Jabłonę, Czernsk, miasta pełne pamiątek historycznych, mogące zainteresować znawców,

w kraju takim „przemysł turystyczny” mieć może przyszłość przy dobrej organizacji, przeto nie od rzeczy będzie przytoczyć główne punkty usiłowań, które kieruje się ów komitet, z najlepszych synów Francji złożony.

Przedewszystkiem mają być ulepszone szosy, oświetlone elektrycznością, zaopatrzone w najbardziej szczegółowe informacje dla: pieszych, konnych, cyklistów, motocyklistów, automobilistów i awiatorów.

Potem ma być przedsięwzięta jak najszerza akcja dla zmuszenia Towarzystw kolejowych do obniżenia taryf, ustanowienia tanich biletów do miejscowości kąpielowych i kuracyjnych i rozkładu pociągów z wszelkimi możliwymi ułatwieniami.

Z kolei ma być rozciągnięta opieka nad uzdrowiskami, ich urządzeniami, mieszkaniami, cenami, rozrywkami.

Nadto mają być opracowane „karty kilometrowe”, to jest mapy szczegółowe w wielkiej skali ku użytkowi wszystkich, którzy umieją czytać, a zatem potrafią orientować się we wskazówkach graficznych.

Utworzony będzie dział reklamy dla obcokrajowców przez wydawanie broszur, katalogów, przewodników w kilku językach, przez rozsyłanie cyrkularzy, ogłoszeń, publikowanie korespondencji, artykułów, notat, telegramów.

Wreszcie — i to jest najważniejsze — ma być na drodze prawa ustanowiony „kredyt dla hoteli”. Przemysł hotelowy czyni we Francji olbrzymie postępy; już poza granicami kraju, a nawet Europy, Francuzi dystansują Szwajcarów i Niemców, rzucając olbrzymie kapitały na hotelnictwo.

Otóż rząd francuski, wyjednaawszy uchwałę o zastawach nieruchomości i ruchomości hotelowych, pragnie ułatwić pozyskiwanie tanich kapitałów i zachęcić do wznoszenia hoteli w każdym punkcie przy licznych drogach, którei maszerować będzie kochający swój kraj Francuz lub ciekawy jego piękności cudzoziemiec.

Taka akcja, podyktowana zdrowym patriotyzmem i głębszym zrozumieniem interesu licznego odłamu ludności (właściciele will, hoteli, restauratorzy, oberżyści, woźnice, szoferzy, handlarze benzyny, liczna służba) i całych okolic (uzdrowiska, stacje klimatyczne, plaże), jest akcją w stylu nowożytnym. Mądra, praktyczna i naśladowania godna.

+ Roboty koto odnowienia zamku królewskiego na Wawelu prowadzone są w bieżącym roku bardzo intensywnie. Obecnie przeprowadzane są urządzenia wentylacyjne na wszystkich piętach. Będzie to wentylacja sztuczna. Powietrze wpędzane będzie do sal i komnat za pomocą motorów przez przewody, umieszczone w murach gmachu, które już w bardzo znacznej części są wykonane. Powietrze, wprowadzone wentylami, będzie oczyszczone z kurzu, naświeżone, a w zimie ogrzane. Do tego umieszczone zostaną w piwnicach specjalne aparaty, t. zw. opylacze, naświeżacze i podgrzewacze. Powietrze zepsute odchodzić będzie z sal specjalnymi przewodami, prowadzonymi ponad dach zamku. Do urządzenia tego rodzaju wentylacji musi przeprowadzony specjalny kanał w piwnicach, którego będą szły rozgałęzienia po całym gmachu.

W tym roku wykończone będą stropy żelazno-betonowe na II piętrze w całym budynku. Kominny projektowane są w tych miejscach, gdzie znajdowały się dawne, zburzone. Będą one wybudowane z cegły, bez żadnej ozdoby. Także przeprowadzi się urządzenie ostateczne gromochronów, zabezpieczających zamek przed katastrofą. Zmiana w rozmieszczeniu gromochronów musi nastąpić z powodu budowy kominów. O ile te wszystkie roboty zostaną wykończone tego roku, usunięte będzie rusztowanie z podwórca arkadowego i w ten sposób otworzy się widok na stylowy krużganek.

Ukończono już budowę dachu na narożniku wschodnio-południowym. Cały dach jest konstrukcji żelaznej, pokryty dachówką łyczerwoną. Wykończone także są roboty na helmach wieży Sobieskiego i wieży Zygmunta III. Wybudowano na tych wieżach stolec dachowy z drzewa, pokryty miedzią.

Roboty architektoniczne postępują także na przód. Przystąpiono do odnowienia bramy Władysława IV u wejścia na Wawel od strony ulicy Kanonicznej. Ustawiono tam wysokie silne rusztowanie. Brama będzie wzmocniona wewnątrz i zewnątrz, oraz wyprawiona. Rozpoczęto także roboty około fasady zamku od strony ulicy Kanonicznej. Dwie baszty otrzymują tło wyprawione, a mur samej fasady będzie ze szczerzej cegły.

Rozpoczęto odnowienie pawilonu gotyckiego koło Kurzej Stopki. Na wschodnim skrzydle zamku odkryte będą w tych dniach wszystkie freski.

Droga prowadząca do Wawelu od ulicy Bernardyńskiej, o którą obecnie się toczy spór między miastem a krajem, będzie znacznie obniżona i rozszerzona, wskutek czego otrzyma nieznaczny tylko spadek. Będzie ona w przyszłości 9 metrów szeroka.

Nadmienić należy, że niezadługo rozpoczną się dalsze poszukiwania dawnych budowli w fundamentach zamku. Poszukiwania te będą prowadzone pod nadzorem Akademii Umiejętności za pozwoleniem wydziału krajowego.

W końcu zaznaczyć należy, że przed kilku dnia-

mi kierownictwo odnowienia zamku królewskiego na Wawelu oddane zostało arch. Ignacemu Sowińskiemu. Dawny kierownik, arch. Hendel, ustąpił i wyjechał na jakiś czas zagranicę.

+ Wobec tego, że Towarzystwo kolei podjazdowych w Petersburgu ubiega się o koncesję na budowę kolei podjazdowych od Zgierza do Łęczycy i od Łodzi do Aleksandrowa, w imieniu ziemian okolicznych zaproponowano, jak pisze „Kur. Warsz.“, rzeszonemu Towarzystwu jednoczesne wyjednanie koncesji na budowę odnogi kolejowej od Zduńskiej Woli do m. Koła długości 71 wiorst.

Zaprojektowana kolej ma obsługiwać powiaty: kolski, koniński, turecki, sieradzki i łęczycki.

Niezależnie od już istniejących fabryk i zakładów przemysłowych złożone zostały deklaracje, że po zbudowaniu kolei pod Kołem będzie wybudowana nowa cukrownia, w środku powstanie wielka bydłobójnia na wywóz wieprzowiny, a pomiędzy Zduńską Wolą a Poddębicami powstaną nowe lotniska i osady dla robotników z Łodzi.

OGÓLNY KOSZT budowy kolei ma wynosić rb. 3,635,200; wydatki eksploatacyjne rb. 106,500.



MEBLE W RÓŻNYCH STYLACH SOLIDNEJ ROBOTY

POLECA

P. GRODECKI

ulica Marszałkowska 68, telefonu № 112-94,
od 8 maja na Żórawiej 33.

Pp. Członkom Tow. Krajoznawczego ustępstwo.



TREŚĆ: *Stanisław Zuber* — Pasma skałek Pienińsko - Nowotarskich (z 2 ryc.) (c. d.). *B. Ślaski* — Pochodzenie nazwy „Zawichost“. *Al. Janowski* — Listy z podróży naokoło świata. *B. Janusz* — Z wycieczek po Brzeżanach i okolicy (z 3 ryc.) (dok.). *Włodzimierz Antoniewicz* — Żegota Pauli. — Z naszej turystyki. *Maryan Mechowicki* — Z podróży do Australii. — Z piśmiennictwa. — Kronika krajoznawcza. — Poza tekstem: Gorgany. Widok z Siniaka na Dobrzanę. — Wkładka: Chrzcielnica marmurowa w Bejskach, pow. pińczowski.
